

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 11

WARSZAWA, 11 LISTOPADA 1935 R.



PRZY ARMACIE

P. Woszczyński



11 LISTOPADA



W listopada mgliste rano,
wśród jesiennych liści drgania,
niosą dzwony pieśń wiosnianą,
pieśń triumfu, zmartwychwstania.

Choć nad pustem polem, szarem,
mgły tumanem się rozwiały,
nad mgły sine, nad opary,
leci w słońce orzeł biały.

Niestraszne mu mroczne cienie
i niestraszna jesień blada,
złotą zorzą nam połyska
11-ty listopada.

O co wieszczę się modlili,
co snem naszych dziadów było,
w listopada ranek szary
jasną zorzą zaświeciło.

Zaświeciło, zapłonęło
i serdecznym blaskiem bije,
to wolności jasna gwiazda,
to Ojczyzna Matka, żyje!

Spod chmur woła orzeł biały:
„O młodzieży, bądź gotowa
dla Ojczyzny, dla jej chwały
umieć cierpieć, żyć, pracować”.

Wanda Malicka

PRZEMÓWIENIE JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W ÓSMĄ ROCZNICĘ ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI (11 LISTOPADA)

Siedzą przy mnie dwa dzieciaki,
dzieciaki miłe, i proszą o bajkę. Dla-
tego też powiem paniom i panom bajkę
dla dzieci i dla dorosłych.

Razu pewnego zobaczyłem gromad-
kę dzieci, schyloną i skurczoną nad ja-
kimś przedmiotem. Patrzyłem zdumio-
ny, co na brudnym, śmietnistym podwó-
rzu one widzieć mogły, i dojrzałem ma-
łą żabkę. Żabka, w błocie utyłana, za-
brudzona, w piachu wywalana, skakała
niezgrabnie na długich nogach i wyłu-
piastemi oczkami łyskała na dzieci. Za-
pytałem dzieciaki — na co wy tu pa-
trzyacie? Na to mi jeden chłopak odpo-
wiedział, że przecież była taka żabka na
świecie, co — on sam o tem czytał —
na śmietniku skakała, a nagle przez
czary i dziwy wyjechała złocista kare-
ta — ogromna karetą, w sześć rumaków

wielkich zaprzężona. Sześciu wielkich
hajduków pod uzdy rumaków trzyma,
a z karety wyziadają panie, strojne nad
wyraz! Panie pudła z karety wyjmują
i, o czary! i, o dziwy! — z żabki robi
się nagle cud dziewica, cud dziewczy-
na — o przepięknych oczkach i liczku!
Tylko łachmanami przedartemi się chro-
ni, zziębnięte ciało gołe przez dziury
świeci i oczy ma cudne i piękne liczka.
Z żaby, zatyłanej, w błocie uwalanej,
tak piękna dziewczyna wyskoczyła z ka-
rety, a panie, strojne nad wyraz, niosą
koszulkę białą, koszulkę cieką — jed-
wab najlepszy. Za koszulką idą panta-
loniki, falbanki strojne, piękne, ładne
falbaneczki, a gorsecik, co jej na piersi
zawijają, taki jest barwny, taki ład-
ny — sznurki jedwabne...

Dziewczyna sama sobie się przypa-
truje i dziwi się. A suknią, w którą ją



przybierają, w białe perełki, róże, przesyta złotem, srebrem, świeci.

Żabę brudną, na dziewczynę cudną przez czary zmienioną, wsadzają do karety i jedzie ona na białe, na wielkie pałace i sale. W pałacach i salach posadzki świecą, jak lustra, i w lustrze takim dziewczyna cudnej swej piękności się przygląda, a złe dziewczęta, z zazdrości żółkle, gwarzą i szepczą o niej, jako o złej i przewrotnej dziewczusce. A panie złe i macochy złe rzeczy do ucha sobie szepczą. Są więc czary i dziwy, kiedy dziewczę jest szczęśliwe. Powiadają, że bajek na świecie niema!...

Tak mi chłopak mówił i czekał, żeby z żabki cud dziewczica wyskoczyła

i karoca na śmietnisko zjechała. Sam nie wiem, czy to bajki prawdziwe, ale, że są czary i dziwy, kiedy ktoś jest bardzo szczęśliwy, to jest prawdą. To ja sam na własne uszy słyszałem, na własne oczy widziałem, własnymi palcami dotykałem takich czarów i dziwów, że doprawdy aż opowiadać strach. Prawdą, że może nikt z nas miłego dzieciaka nie widział, któryby nagle, po lesie biegając, poziomki zbierając, zobaczył las z pierników i pierniki, jak gałązki, obłamując, do ust wkładał. A któż dziecko widział, które nagle, skacząc na jednej nóżce, w ogrodzie zaczarowanym się znalazło i widziało na gałęziach czar-ptaki, wesoło szczebioczące i wesoło pomiędzy sobą mówiące? A któż miłą dziewczuszkę widział, która w ogrodzie zaczarowanym się znalazła?

Ja własnymi uszami słyszałem, palcami dotykałem i widziałem czar nad czary, cud nad cudy i o tem wam opowiem.

Był kiedyś listopadowy dzień, jasny, kiedyś roczków niewiele, a działy się wtedy czary i działy się dziwy. Na drodze błotnistej, w błoto wszędzie zawalanej, ciągnie szary, krótki i niedługi — wąż szary chłopaków i chłopców.

Tak samo, jak ta żabka niezgrabna, skacząc szli, zmęczeni, przytupując niekiedy zmarzniętymi nóżkami, po drodze błotnistej, szarej i wilgotnej. Biedne chłopaki, biedni chłopcy! Przytuleni do siebie, drżeli z zimna, oczki ich były niewyspane, po nocy ciężkiej i ciężkich dniach wielu. Nogi zmoczone w trzewiakach podartych, w błocie utyłanych, szli, tuląc się często do ziemi, by choć na chwilę przykucnąć i przez chwilę odpocząć. Szli, ciągnęli w 11 dzień listopada, hen! gdzieś pod mury Krakowa. Na czele ich jechał chłopak inny, jechał na młodej kasztance z łysą głową. Kasztanka, córka pól i łąnów, zalotnie szła w miasto, skąd przyszli biedne chłopaki, w błocie utyłani, w łachmany odziani, skąd przyszli chłopcy, co na grzbietach kubraki zawieszane, zapaskudzone insektami, w koszulach brudnych, jak ziemia sama, szli do miasta. Jakąż przeszli oni ciężką dolę! Szli noc całą, tak, że śmierć im wszędzie w oczy zaglądała.

Szli przez bramy śmierci, przez wrota jej ciasne i duszne, szły biedne chłopaki, czując śmierć za sobą.

A prowadził ich chłopak inny, idąc z nimi po błocie w wąwozach ciemnych, przez lasy ciemniejsze od ciemności. A gdy księżyc zza chmury na nich wyglądał, wydawało się tylko, że to blask kosi śmierci w oczy im błyska. A nieprzyjaciół, co na nich czyhali, śmierć im niosąc, było bez liku, było bardzo wielu. Szli biedni chłopcy i biedne chłopaki, do ziemi przyciśnięci, brudni i zawszeni, podarci i obdarci, jak żebraki, szli, tęskniąc do murów Krakowa, gdzie o schronieniu tylko i o spoczynku marzyli. Biedni chłopcy, biedne chłopaki, tak, jak owa żabka, po brzegach śmietnika niezgrabnie skakali. A na czele ich jechał chłopak inny, jechał na ładnej wiejskiej klaczy, co w złocie słońca złotym włosom lśniła. Klacz szła zalotnie do miasta i kiwa im na wszystkie strony. Lecz miasto złem okiem wiejską klacz spotkało. Gdy wchodziła już w pierwsze domy miasta, zgóry pędziło straszdyło-auto, hucząc i sycząc, łomocąc bruki miejskie puste i próżne, tak, jak puste i próżne główki bywają i łomocą i krzyczą swą prostotą.

I klacz wiejska na zadzie przysiadła, nogami brykała. Prychać nozdrzami ze strachu zaczęła, a ów chłopak uspokajał ją głaskaniem i batem i zaczął mówić jej o czarach i o dziwach. „Poczekaj, kasztanko, nie tutaj będziesz, w stolicę wejdiesz, w bruki jej kopytami zadzwonisz, lud mnogi patrzeć na cię będzie. Na twoją szyję ładną i na twój złoty włos!.. Nie bój się, kasztanko! Próżny strach twój tutaj!..”. I nie wiem i wam nie powiem, dlaczego to tak było, lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy. Czy to na wieżach Marjackich, koroną zdobnych, są czarowne słowa, czy hejnały, co godziny liczą, może w dźwiękach zaczarowane mają, czy w wielkim dzwonie Zygmunta, co na Polskę sercem bije, jest siła czarowna, czy w podziemiach Wawelu króle, śpiący snem wiecznym, czary w ustach mają, czy w trumnie Kościuszki, czy w wielkiej trumnie Mickiewicza głosy w spiżę czarów biją, nie wiem i nie

powiem. Lecz są czary i dziwy, kiedy chłopak jest szczęśliwy!...

Więc minęło roczków niewiele, latek niedużo, dzień goni dzień, noc nockę prześciga, przyszedł znowu listopada dzień 11 — patrzy znowu kasztanka ta sama, łysym łbem kiwa, a świat zaczarowany przed jej oczami się przesuwają. W stolicy bruki pod kopytami jej dzwonią i wszystko zupełnie inaczej wygląda. Czar nad czary i dziw nad dziwy! Kasztanka idzie, łbem łysym kiwa i wciąż się dziwi, gdzie chłopiec szary i brudny, gdzie pan mój zawszony? I, łbem kiwnąwszy, sięga do swego pana. Ten sam — ten samiuteńki, lecz cóż się z nim dzieje? Patrzenie, jaki zmieniony! Na piersi gwiazd tyle, ile państw liczy świat. Na piersi wstęga, co kolorem nieba i żałoby o zwycięstwach mówi w wielkiej wojnie i do niebios o zwycięstwie krzyczy. Grzmią hębny warkotem okrutnym.

Panie i panowie, którzy mnie słuchacie, pozwólcie, bym skończył, bo czas już upływa, bym skończył życzeniem na dzień 11 listopada przyszłego roku.

Wiemy, że gdy przy wskrzeszeniu ciała i duszy odrodzenie się odbywa, ciepłem od zimna się schronimy. Może listopad przywita nas wichurą, wiewem wiatru, co w szyby dzwoni i w kominach jęczy, co o śmierci mówi i o strachach krzyczy — wiem, że wskrzeszenie ciała z odrodzeniem duszy siłę i piękno w jedno razem zwiże. Wichury złamiemy i tarczę ochronną przeciw wiatrowi znajdziemy. I nie wiem, panowie, być może w wilgotny dzień jesienny, z chłodem przenikliwym wilgoci dzień 11 listopada nam rzuci. I wtedy też z wskrzeszeniem ciała, z duszy odrodzeniem ciepło wewnętrzne znajdziemy, co wilgoć i zarazę zdusi. A może uśmiechnie się tak, jak uśmiechało się słońko w czarownym dniu 11 listopada 1918 roku? I słońko jesiennie lica przygrzeje i wiatr łagodny w twarz chłodzić będzie i wtedy z duszy odrodzeniem znajdziemy wspólny uśmiech szczęścia z bytowania z duszą wielką i odrodzoną. Życzę paniom tego i panom i miłym dzieciom...



DEFILADA

Na ulicy, i tam, i tu,
z jednej strony i z drugiej strony
głowa przy głowie stoi tłum
na baczność wyprężony.

Zdala, zdaleka tętni bruk...
Słysząc, jak serce w piersi bije...
Cisza...
A potem
ziemia pod marszem żołnierskich nóg
blisko już, blisko chrzęści tupotem.
Już idzie wojsko!
Niech żyje!

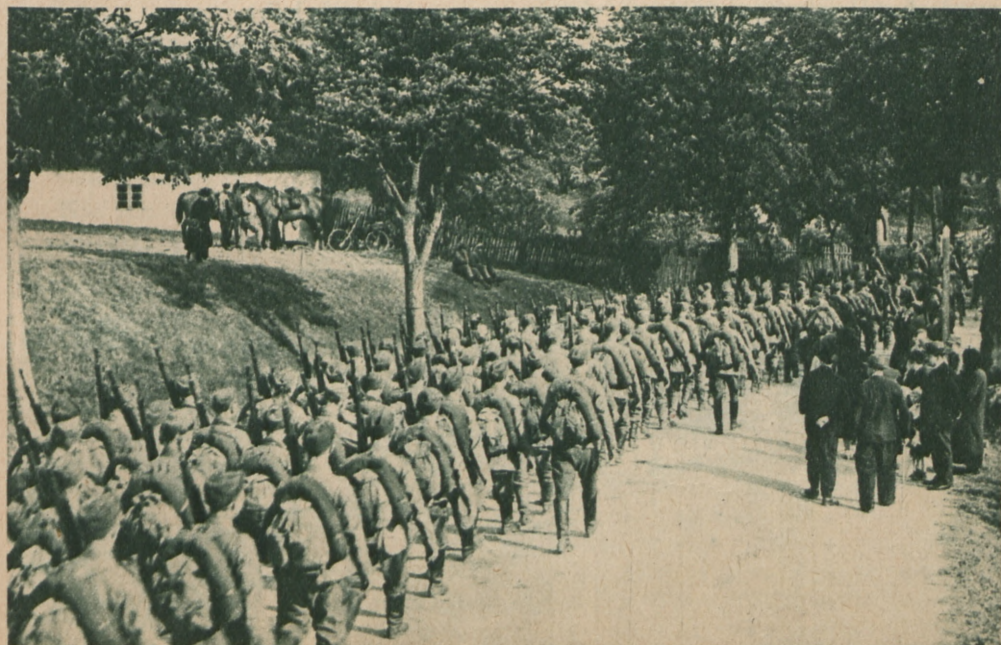
Rozjaśniły się twarze,
roześmiały się oczy,
otworzyły się serca najszerszej.
Hardo i dumnie

w zwartej kolumnie
kwiat narodu kroczy —
żołnierze.

Sprzodu
pochodu
orkiestra gra —
trąby ma srebrne, bębny ze złota.
A za orkiestrą
raz, dwa — raz, dwa —
idzie w szeregach piechota.

Las karabinów, bagnatów las!
Głowy, bagnety dogóry!
Nikt nie pokona, nie złamie nas!
To my, bojowe piechury!

W bitewny huk,
w ogniowy czas,



PIECHOTA



KAWALERJA

w atakach i odwrotach
nikt nie pokona, nie złamie nas —
to my, bojowa piechota!

Las karabinów, bagnatów las,
twarde buty, szare mundury.
Nikt nie pokona, nie złamie nas!
My — tarcza armji — piechury!

Poszli i przeszli. Patrzaj: już niema.
Patrzaj, już inna nadchodzi broń.
Ułani jadą! Już tętni ziemia!

Jadą ułani,
jak malowani,
nad każdym lanca, pod każdym koń.

Zgrabnie, zgrabnie, jak w tańcu —
wystrojeni, jak lalki,
czy na polu, czy w szańcu
myśmy pierwsi do walki.

Tuż przed okopem
galopem
w skoku



KAWALERJA



STRZELCY KONNI

ileśmy bojów wygrali!
Niedarmo szabla wisi u boku,
niedarmo lanca ze stali.

W każdym szwadronie
ludzie i konie,
jak bracia żłyci, jak lwy waleczni.
Kto jest przed nami,
wmig rozsiekamy!
Kto jest za nami — bezpieczny.

Pojechali, przejechali
już ich niema.
Jedzie broń nowa, nowa chwała.
Dudni już ziemia, dudni ziemia,
toczą się, jadą działa.

Artylerja — broń to wesoła.
Ciągną im konie
ciężkie jaszczce,
a za jaszczami



ARTYLERJA



MARYNARZE

patrzą dokoła
ciekawe armat paszcze.

Kiedy przemówią
na wojnie do wroga —
niełada mają has:
od ich pocisków
wali się wszystko
i ludzie padają, jak las.

Bo gdy się nasza baterja uprze,

w proch, w kurz zamieni
mury najgrubsze.

Nasze granaty,
nasze szrapnele,
kiedy rozpoczną
zgraną kapełę,
w okopach wroga
zdala przed nami
krew wsiąka w ziemię
strumieniami.



RAPORT

W obce okopy, na wrogą ziemię
my przynosimy śmierć i zniszczenie.
Strój nasz bogaty, sprzęt nasz bogaty:
ciężkie uprząże, ciężkie armaty!

Już przejechały działa,
już skryły się w dali i w ciszy.
Znowu przed nami ziemia zadrżała,
słyszysz?

To w szeregach marynarze granatowi
do przeglądu zeszedli na ląd.
Na okrętach do boju gotowi
przeciw fali, przeciw wichrowi
płyną odważnie pod prąd.

Ani wicher, ani burza nam straszna.
Wśród upałów, czy w bieli śniegów
nasza brać na pancernych okrętach
czujną straż ma
u brzegów.



LOTNIK



K O L U M N A S A M O C H O D O W A

Nienadarmo nas morze kołysze,
nienadarmo smaga nas wiatr.
Jeszcze zdarzy się o nas usłyszeć
hukiem. torped, głośnym na świat.

Na pancernych, bojowych statkach
nie rdzewieje armatnia stal.
Najwierniejsi my do ostatka
was bronimy
wśród szumu fal!

Nad ułanów lancami,
nad kolumną piechoty
warczą, warczą nad nami
bojowe samoloty.

Bez nich — niema obrony,
bez nich — daremny atak.
Czujnie spogląda na wszystkie strony
lotnictwo — flota skrzydlata!

Antoni Narbutt

ANTEK WOJAK

Antek skończył dwudziesty pierwszy rok życia. Miał właśnie stanąć do poboru. Był wzrostu średniego, dobrze zbudowany, krępy i silny; ruchy swobodne, chód ociężały, charakterystyczny raczej dla ludzi leniwych, aniżeli niezgrabnych.

Niczego dobrze nie umiał, do żadnej roboty się nie nadawał.

Gdy orał w polu, skiby biegły tak zygzakowato i nierówno, że ojciec, klnąc niemiłosiernie, przepędzać go musiał batem od pługa w chwili, gdy dawane mu pouczenia nie odnosiły skutku.

Kośba mu nie szła, zboża żąć nie umiał, we dwójkę młócić nie potrafił, a gdy sam cepem walił, tyle ziarna zostawało w kłosach, że trzeba było młócić jeszcze raz.

Toteż dwaj jego bracia traktowali go lekceważąco, a koledzy wyśmiewali.

Antek-niedołęga — mówiono mu po dobroci. Antek-fujara — nazywano go w gniewie, gdy wlaźł komu w drogę niechcący i nieopatrznie.

Ojciec narzekał i mawiał, że mu się jeden syn wyrodził, a matka martwiła się, popłakując nawet czasem w ukryciu.

Widząc to, Antek brał konie i jechał

z niemi do lasu lub na pobliskie pastwisko, od ludzi stronił, do kolegów nie chodził, z dziewczętami się nie zadawał.

Zżył się ze swą parą siwków, które pokochał całym sercem. Czyścił i czesał, karmił i poił, a nawet często z niemi rozmawiał. Mówiono wówczas, że Antek zdurniał do reszty, że zdziwaczał.

W tym czasie Antek stanął przed komisją poborową.

Straszono go tą komisją i wojskiem oddawna. Opinia najbliższego jego otoczenia wypowiadała na ten temat sąd dziwnie jednolity. Ojciec stwierdzał, że go nie wezmą, koledzy uważali, że oferty w armji nie potrzebują. Antek wcale się tem nie martwił, a nawet cieszył się z tego, że do wojska nie pójdzie, nie obrażając sobie rozstania z ukochanymi siwkami.

Los jednak zrządził inaczej.

Bacne oko, wiedza i doświadczenie wojskowego lekarza zdecydowały, że Antek otrzymał kategorię A i jako jedyny ze wsi poborowy tego rocznika dostał przydział do konnej artylerji.

Ojciec ucieszył się tem niezmiernie. Z dumą spojrzął na syna, twierdząc, że



W KANTYNI E



NA CWICZENIACH

albo zrobią z niego w wojsku człowieka, albo przepędzą tam, gdzie pieprz rośnie.

Matusz nie ukrywała swych obaw na temat przyszłości swego pierworodnego syna. Płacząc mówiła do ojca, że Antosz rady sobie nie da i że zginie marnie.

Koledzy przydzieleni do piechoty nie brali jego przydziału na serjo, przypuszczając, że Antek długo w wojsku bytował nie będzie. Ot, mawiali, posłuży czas jakiś, a gdy się na nim poznają — odeślą go spowrotem do domu.

Przyszędł wreszcie czas wcielania do szeregów.

W ciągu pierwszych kilku dni pobytu w pułku Antek stracił zupełnie głowę. Ciągłe ćwiczenia, zbiórki i apele nie pozwoliły mu tęsknić za domem i siwkami. Wsłuchany całkowicie w stanowcze i nie znające sprzeciwu rozkazy przełożonych pod-

oficerów, wpatrzony w długie i sumiaste wąsy ogniomistrza - szefa, wyprężony w bezruchu przed imponującą postacią dowódcy baterji, wykonywał Antek jak automat wraz z innymi najrozmaitsze polecenia tak szybko i sprawnie, że gdyby go ktoś z rodzinnej wioski w tym czasie zobaczył, w słup soli zamieniłby się ze zdziwienia.

Po jakimś czasie Antek oprzytomniał. Przewszystkiem zauważył, że nie jest jedyną ofertą w baterji. „Zaszczytny” ten tytuł przypadał w udziale i to niejednokrotnie wielu jego kolegom za nieumiejętne wy-

konanie rozkazu, a w najrozmaitszych okolicznościach całej baterji. Doszedł więc do przekonania, że nie jest z nim aż tak źle, jak mawiano w domu, wskutek czego coraz silniej zaczęło się w nim budzić poczucie własnej wartości.



NA POSTERUNKU



TELEFON POŁOWY

Doszedł do przekonania, że długie, poruszające się w gniewie wąsy ogniomistrza-szefa nie są tak straszne, jak mu się wydawało. Spozrzegł, że przenikliwe oczy dowódcy baterji są raczej dobre niż groźne. Zauważył, że rozkazy padnij, kryj się lub lotnik, przyjmowane są przez niektórych raczej z humorem, aniżeli ze smutkiem.

Toteż zmadrzał i zmienił się nie do poznania. Starał się wykonywać wszystko jaknajdokładniej. Przydzielony do koni, doprowadził swą parę do najlepszego stanu. Jako jeden z najlepszych jeźdźców wziął pierwszą nagrodę na wyścigach, najumiejtniej ze wszystkich jezdnych zajeżdzać umiał na pozycję.

W czasie manewrów

dostał nagrodę, pochwałę i kilkudniowy urlop za niezwykle sprawne i szybkie zaprzodkowanie działa w tempie wyciągniętego galopu.

Skończyła się wreszcie służba. Antek wrócił do domu ze stopniem kaprała, jako inny, nowy człowiek. Zdawało mu się, że się całkowicie odrodził. Otrzymawszy od ojca należną mu część majątku, zaczął Antek gospodarować ze znacznie większą umiejtnością, aniżeli inni.

Otraskawszy się jako tako ze światem i jego kulturą, zwiedziwszy wiele miast i okolic Polski w czasie urozmaiconej służby wojskowej,



ZAMASKOWANY CZOLG



KARABINY MASZYNOWE

zaczął Antek rozczytywać się w najrozmaitszych, głównie gospodarczych książkach i czasopismach. Rozbudował dom,

założył sad i pasiekę, podniósł znacznie wydajność ziemi umiejętnym doborem nawozów, osuszył mokre łąki i pola, za-



STRZELCY W TYRALJERZE



KAWALERJA

lesił nieużytki, wzbudzając podziw i coraz to większy szacunek u sąsiadów, a nawet u gospodarzy okolicznych wiosek.

Wybrany do rady gminnej został w niedługim czasie wójtem, starając się umiejętnym wpływem doprowadzić go-

spodarkę miejscowej ludności do jak najwyższego poziomu.

Stał się dzięki dobrze odbytej służbie wojskowej nietylko czynnym, ale i twórczym obywatelem Państwa, bojownikiem i pracownikiem zarazem, pełnowartościowym człowiekiem.

D-r K. Sobolski

MASZERUJĄ

Trąba trąbi,
warczy bęben.
Maszerują
zuchy tęgie.
Słońce na nich
świeci zgóry.
— Szeregami
marsz, piechury!
Spod stalowych
patrzą hełmów
oczy śmiałe,
męstwa pełne.

W nogę noga,
ramię w ramię.
Moc to sroga,
któż ją złamie!
Przystanęli —
stoją w rzędach.
— Broń na ramię! —
brzmi komenda.
Patrzcie, patrzcie!
Rozkaz pada.
Wnet się zacznie
defilada.

A. Świrszczyńska



POBUDKA

Mrok jeszcze na polu leży,
 śpi cisza w gęstwinie leśnej.
 Pobudka budzi żołnierzy
 o świcie wcześniej.

Wciąż głośniejszy słyhać, wciąż szerzej
 śpiew trąbki nad ciszą senną.
 Wstawajcie rażno, żołnierze,
 na czujną wartę codzienną.

P E - W U.

Zaczął się to wszystko od manierki.
 Że niby bez niej nie może Władek
 ani rusz zjawić się na zbiórce. „Pod żad-
 nym pozorem”! Bo trzeba tylko zrozumi-
 eć sytuację: Bolek przyjdzie z ta-
 trzańskim plecakiem, Franek przyniesie
 naturalnie swoją wielką latarkę elek-
 tryczną z reflektorem, a Józek będzie

miął ni mniej ni więcej tylko prawdziwą
 busołą Bezarda. Więc jakże Władek ma
 się pojawić na zbiórce nawet bez głupiej
 manierki?

— Ale manierka jest moja! — woła
 Romek, starając się wydobyć z siebie
 najgrubszy bas.

— Nie twoja, tylko nasza! — pi-



CWICZENIA GAZOWE P. W.



ATAK GAZOWY P. W.

szczał Władek, przyskakując do brata w ciasnym „zachowanku”, gdzie były złożone wszystkie ich „przygodowe” przybory i gdzie teraz właśnie wiedli zawzięty spór o ową manierkę.

Wtedy Romek powiedział to najgorsze:

— Napewno manierka nie będzie ci wcale potrzebna. I wogóle całe to wasze harcerstwo to tylko zabawa. Zabawa w Indjan.

— W takim razie twój hufiec to jest zabawa w wojsko! Paradujecie z karabinami bez zamków i salutujecie komu się da. To jest cały wasz hufiec „pe-wu”!

— A, jak tak — to chodźmy do ojca! — powiedział zimno Romek.

— Owszem, chodźmy. Zaraz przekonasz się, kto ma rację!

Ojciec był cały zakryty wielką gazetą, ale, gdy usłyszał energiczne kroki, a potem chrzążnięcia koło swojego biurka — wyrzwał zza niej.

— Hm! — mruknął nibyto bardzo groźnie. — Widzę, że to znów jakaś „sprawa”, co?

— Tak, „sprawa”! — potwierdzili uroczyście obaj.

Wobec tego ojciec odłożył gazetę i oparł się wygodnie na łokciach, przygotowując się do uważnego słuchania.

Już to trzeba przyznać, że z ojcem — choć należał przecież do „dorosłych” — można się było poważnie rozmówić. Znał się na wszystkim: od robienia procy do szybownictwa. I nie wykręcał się żartami, jak to lubią robić starsi, tylko rozsądzał poważnie każdą sprawę. Dlatego też odwołanie się do ojca nie liczyło się za „skarżypęctwo”.

— On mówi — powiedział Romek pokazując na Władka — że hufiec to tylko zabawa w wojsko.

Ojciec podniósł wysoko brwi, więc Władek powiedział prędko:

— Bo oni mają karabiny bez zamków!... A zresztą on powiedział na harcerstwo...

— Zaraz, zaraz! Po porządku! — powstrzymał go ojciec. — Więc jaka to jest pełna nazwa tego „Hufca”?

— Hufiec „Pe-Wu”, czyli Przysposobienia Wojskowego — wyrecytował Romek. — Oczywiście hufce są tylko w gimnazjach.

— Aha! — zamruczał ojciec. — „Przysposobienie” to znaczy: przygotowanie... Przygotowanie do wojny, prawda? Do obrony kraju? Hm, hm... Nie wydaje mi się — prawdę rzekłszy — żeby to była zabawa...

— Bo i nie jest! — zawołał Ro-



P. W. NA PLACÓWCE

mek. — Uczą nas prawdziwi oficerowie i jeden ma nawet bliznę przez cały policzek. Więc chyba człowiek z blizną na policzku nie będzie się „bawił” w wojsko? I wogóle bez przysposobienia wojskowego nie obronilibyśmy się w żaden żywy sposób!

— Tak powiadasz? — zdziwił się ojciec. — A czemuż to?

— No, niechże ojciec sobie wyobrazi,

że naprzykład jutro o godzinie trzeciej w nocy napada nas niespodzianie nieprzyjaciel. Więc kiedy ojciec przeprowadzi mobilizację? Kiedy ojciec przeskoli rekruta?

— Doprawdy, sam nie wiem, kiedy to zdążę zrobić! — zmartwił się ojciec.

— No, więc na to ma właśnie ojciec nasz hufiec! — triumfował Romek. — Rozdaje nam tylko ojciec ostre ładunki



P. W. ŁOWICKIE



KARABIN MASZYNOWY

(bo zamki do karabinów to i tak dostajemy na ćwiczenia polowe, albo na strzelnicę) i już ma ojciec gotowe oddziały w każdym mieście i w każdej wsi!

— W dawnych czasach nie było żadnych hufców „Pe-Wu” i też się Polacy umieli bronić: robili poprostu pospolite ruszenie i wroga „bili na głowę”, jak jest napisane w mojej historii — wtrącił się Władek.

— No, to ja ci powiem, że wtedy każdy chłopiec przechodził przysposobienie wojskowe, bo od małego uczył się jeździć konno i robić broń. Naprzód był paziem, potem giermkim, a wkońcu rycerzem. Więc to wszystko było jak „P. W.”... Albo jeszcze lepiej ci powiem: wiesz, co zrobił Baden-Powell w obłożonym Mafekingu?

— No, już o Baden-Powellu to nie będziesz mnie uczył, bo my w harcerstwie wszystko o nim wiemy!

— Więc powiedz, czy nie ćwiczył on młodych chłopców w obronie miasta?

— A właśnie widzisz, że nie: zrobił z nich tylko gońców i wywiadowców!

— Bo pewnie byli za mali. Ale zato powiedział takie zdanie: „Chłopiec, który nie umie obchodzić się z karabinem — jest skazany w razie wojny na zabicie, jak królik”.

— Tak! — powiedział ojciec. — Jest w tem sporo racji. Ale przecież mamy normalną służbę wojskową?

— A co ojciec woli — spytał Romek — czy dostać rekruta już przeszkolonego, czy też surowego, jak głąb kapuściany?

— Myslę, że taki głąb kapuściany nie odpowiadałby mi zbytnio! — powiedział ojciec po namyśle.

— No! — przygwoździł Romek. — A czy Polska ma granice naturalne, jak naprzykład Szwajcaria albo Anglja?

— Tetry! Karpaty! — zawołał Władek, żeby przecież tak odrazu nie podać się.

— Ciesz się! — zaśmiał się gorzko Romek. — Te parę kilometrów? I to od czyjej strony? Od małych Czech i sprzymierzonej Rumunji! A granica niemiecka? A rosyjska?

— No, więc? — spytał ojciec.

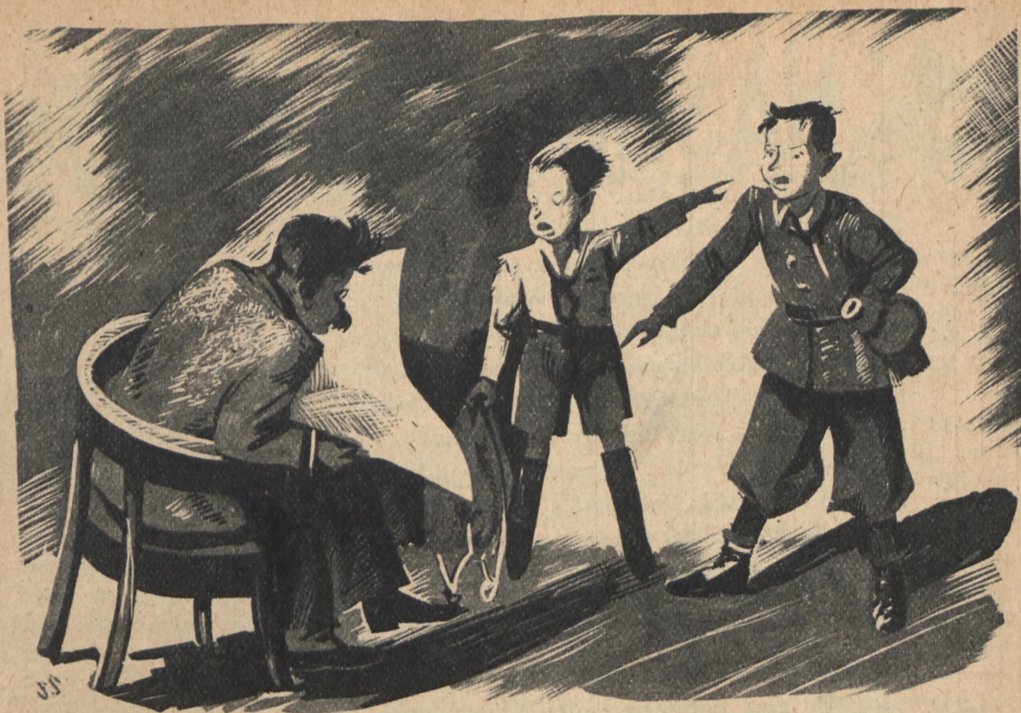
— No, więc to, że „granicą naturalną Polski jest front polskiej armji”. Tak nam kiedyś powiedział nasz dyrektor.

— Nieźle powiedziane! — zgodził się ojciec.

— Co to „nieźle”? Morowo powiedziane! — zapalał się Romek. — A co się śpiewa w piosence? „Sparty murem piersi były”! Bo w Sparcie nie wolno było budować murów, żeby żołnierze nie liczyli na nie. Ich piersi miały być jedynym murem i basta. Tak samo jest u nas!

— Jestem prawie przekonany! — powiedział ojciec. — Więc hufiec jest przygotowaniem do wojska. To jakby giermkowie, którzy wyrosną na rycerzy, czy tak?

— Pewnie! — sapnął Romek.



— No, a może harcerstwo ułatwia znowu pracę hufcom? Może to jakby paziowie, którzy wyrosną na giermków? — pytał ojciec.

— Pewnie! — krzyknął Władek.

— Może... — bąknął Romek.

— Bo nawet zabawa — mówił dalej ojciec — to nic złego ani śmiesznego. Zabawa to przygotowanie do poważnych zajęć. To coś jak trening, prawda?

— Pewnie! — zawołali teraz obaj chłopcy.

— Więc rozsądzenie waszej „sprawy” wyglądałoby tak: obaj nie macie racji i... obaj macie trochę racji. A w czym

macie i nie macie — to już chyba sami wiecie?

Chłopcy wrócili wolnym krokiem do „zachowanka” i zaczęli leniwie grzebać w stosie butów, sznurów, lasek, drutów i innych „niezbędnych” rzeczy. Po chwili ciszy Romek bąknął:

— No, to już weź tę manierkę...

— A ty?

— Ja się obejdę. Żołnierz musi się hartować.

— To i ja się obejdę!

No i z tego wszystkiego manierka została w domu.

Jerzy Ostrowski



NASZE WOJSKO

Te same amaranty, co kiedyś zdobyły
proporce uskrzydłonych srebrzyście husarzy,
ten sam sztandar, którego zwycięsko broniły
dawne wojska, stojące ojczyźnie na straży;
ten, który świecił zuchom pod Raławicami,
ten, któremu przysięgał Kościuszko, Pułaski,
którego księżę Józef honoru nie splamił
i któremu Dąbrowski wskrzesił sławy blaski —
ten spod Stoczka, Dubienki i ten spod Raszyna,
broniony do ostatka tchu na wolskich szańcach,
ten sam orzeł, co śnił się w niewoli godzinach,
wraz z życiem wydzierany z uścisków powstańca — —
— — ten sam znowu po latach zakwitł w amarancie
i przed światem rozwinął znów skrzydła tęczowe —
— kiedy twoi żołnierze, miły Komendancie,
ginęli pod Rokitną i pod Mołotkowem!...
I oto po niewoli dniach, po strasznych klęskach
ożyli, wymarzeni w snach, polscy żołnierze...
Ciebie niema już z nami, lecz armja zwycięska
nowej Polski wolności i honoru strzeże.

Idą, suną szeregi. „Chłopcy malowani”.
Rytmiczny łoskot kroków. — To nasza piechota.
Zagrały tęczą barwy! — Ułani! Ułani!
Wgórze srebrny samolot słońcem zamigotał
i niebu pieśń triumfu obwieszcza z zapalem!
Synu, czy ty rozumiesz? Czy serce ci bije?
Czy możesz zmieścić radość w swem serduszku małym?...
To NASZE WOJSKO. Wołaj! Krzycz głośno: — „Niech żyje!!!”

Alina Kwiecińska

NASZE RADIO

Mili radjosłuchacze. Wtorkowy program, 12 listopada od godz. 12 m. 15 do g. 12 min. 30 przeznaczony jest dla szkół i młodszych dzieci, a zawiera ciekawy

dialog p. t. „Co to jest wolność” pióra p. J. Grabowskiego.

We środę, 13 listopada od g. 16.00 do godz. 1 m. 20 „Trzecia rozmowa Maj-

sterklepki z Lepigliną". Tym razem ci dwaj spryciarze powiedzą Wam, co można zrobić z tektury. Ponieważ zbliża się Boże Narodzenie i trzeba już myśleć o podarkach, napewno pilnie będziecie słuchać wszystkich rad i wskazówek Majsterklepki.

We czwartek, 14.XI od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 transmisja słuchowska z kliniki uniwersyteckiej p. t. „U chorych dzieci”. Usłyszycie rozmowę panów doktorów, chorych dzieci i matki, które je odwiedzają.

W piątek, 15 listopada od godz. 12 min. 15 do g. 12 m. 40 obrazek słuchowski dla starszych dzieci p. t. „O jedenastym listopada” pióra Kazimierza Konarskiego. W szkole odbywa się uroczystość ku uczczeniu Święta Niepodległości. Nauczyciel mówi dzieciom o tym dniu, opowiada im swoje wspomnienia

i przeżycia a uczniowie śpiewają i deklamują.

Tego samego dnia o godz. 16 min. 45 do g. 17.00 „Chwilka pytań” dla starszych dzieci, które zawsze z niecierpliwością czekają na odpowiedzi.

Na sobotnią audycję, 16 listopada od g. 18.00 do godz. 18 m. 30 złożą się: 1) wiersz nadany z Krakowa p. t.: „Śmierć konia” i 2) wesoły obrazek słuchowski z Warszawy p. t. „Błązek” pióra Lucyny Krzemienieckiej.

W niedzielę, 17.XI od godz. 16.00 do g. 16 min. 15 rozgłośnią wileńska nada słuchowisko p. t. „Czem jest twój tatuś? — strażakiem”.

I w poniedziałek, 18 listopada od godz. 18 min. 30 do g. 18 m. 40 Mamusia radjowa, pani Wanda Tatarkiewicz omówi listy swoich młodszych i starszych rdjosłuchaczy. W.



— W szkole! Nie, ten Mruczyślaw jest kapitalny! Więc powiedz mi, czy w szkole uczą, jak uszyć sobie ubranie ze skóry? Jak zdjąć skórę z zabitej zwierzyny? Jakie owoce są jadalne, albo lecznicze? Jak oznaczać swoje miejsce na morzu według gwiazd? Jak naprzykład zrobić siekiere z kamienia? Albo jak się leczyć, kiedy się zachoruje na febrę, jak Robinson podczas deszczów? Albo jak zrobić lampę? albo świecę i mydło? albo...

— Patrzcie! — krzyknął naraz Breloczek, wskazując palcem przed siebie.

— No, co? — powiedział Wacek,

przyglądając się pilnie. — Kawalek kija płynie...

— Tak, tylko, że ten kawałek kija ma zieleniutkie liście!

— No, to co?

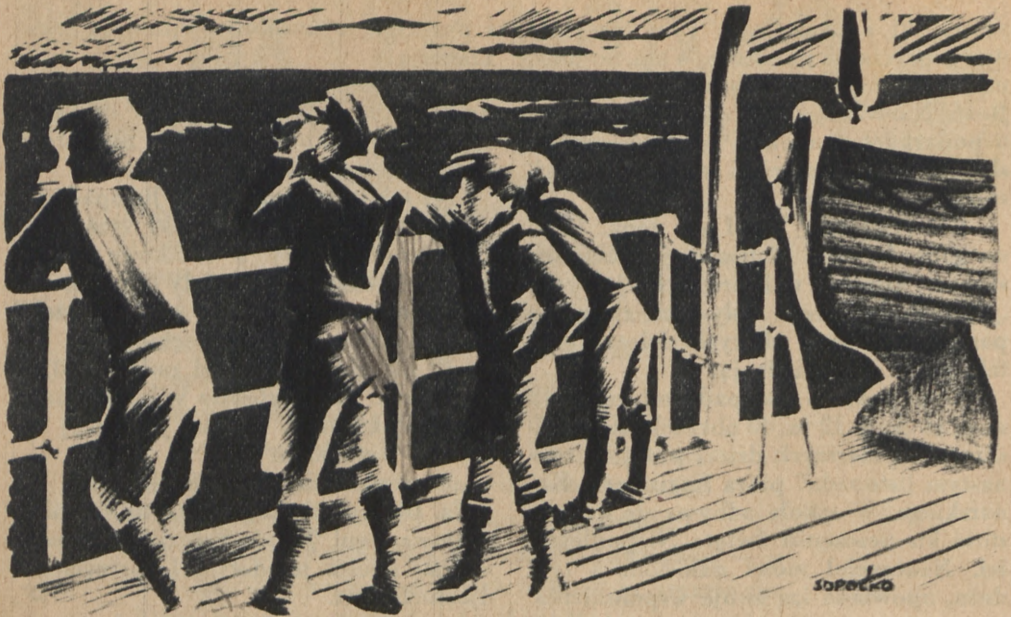
— No to znaczy, że ziemia blisko.

— Widzicie go, jaki mi Kolumb. A nie może to taka gałąź płynąć tygodnia, albo dwóch?

— Wtedyby liście nie były takie zielone.

— Patrzcie, z Breloczka robi się polski Cherlak Szelmes — śmiał się Wacek.

— Breloczek ma rację — odezwał się Mietek. — A ty, Wacek, mógłbyś go nie pikować.



— Nie pikuję go wcale, tylko ochładzam go, jak mu się zdaje, że jest równy nam — harcerzom, on — biskopt.

Mietek uśmiechnął się nieznacznie, ale nic nie powiedział, a obrażony Breloczek odwrócił się od Wacka i wyjął ze swojego „magazynu” lornetkę.

Po dłuższej chwili odezwał się:

— Może teraz znowu powiesz, że biskopt nie może zobaczyć ziemi przez lornetkę?

— Co? co? — rzucili się ku niemu.

— A to, co mówię! — mrucał nadąsany jeszcze Breloczek.

Wydierali sobie pokolei lornetkę i wołali:

— Ziemia! ziemia! naturalnie!

Po jakimś czasie można było już dojrzeć gołym okiem niebieskawą smugę na horyzoncie, wyglądającą jak las zdaleka widziany.

Wygwizdów prawie oszalał z radości: skakano i śpiewano, całowano się i krzyczano.

— Drzewa widać! — zawołał znowu Breloczek. — Naprawdę drzewa.

Julek wziął od niego lornetkę i poważnie ogłaszał:

— Tak, widać drzewa. Ale to jeszcze głupstwo! Na jednym z drzew widzę ptaka zwanego Aligator, po polsku — Introligator. Ptaszek ten czyści sobie dziobek o listek i kiwa na nas paluszkami lewej, tylnej nogi. A obok niego siedzi wąż Boa — Konstruktor, po polsku Konduktor, który ma od głowy do ogona piętnaście łokci, a od ogona do głowy pięć, razem dwadzieścia.

— Ale co to może być za ziemia? — mruknął jakby do siebie Mietek.

Julek odjął lornetkę od oczu i patrzył na niego przez chwilę, poczem rzekł:

— Wiesz, Mruczysławie, ty zawsze trafisz w sedno... Rzeczywiście co to może być za ziemia?

— Albo Indje, albo Australja — powiedział Wacek.

— Albo coś pośredniego, prawda? — zakpił Julek.

Mietek podniósł głowę i powiedział:

— Niechący powiedziałeś rozumną rzecz. To coś pomiędzy Indjami a Australją...

— Jakto?...

— No, tak — jakaś wyspa z tego archipelagu... jak mu tam?... no tego, co jest między Australją, a Azją.

— Może San - Domingo? — odezwał się Wacek.

— Co ty pleciesz? Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie karczmy babińskie? Jak widzę to ty nadawałbyś się na podróżnika do bieguna północnego, bo odkryłbyś go tam, gdzie nikt tego się nie spodziewa... naprzykład na równiku — i Julek pokazując na wyspę, powiedział:—Wiesz, co to może być? Nie? Cejlon! Słyszałeś o takim zwierzaku?

— Jeżeli Cejlon — powiedział Wacek to trafimy znowu na Anglików.

— Alboż Cejlon jest angielską kolonją?

— No, a czyją?

— Holenderską, ma się rozumieć!

— A ja ci powiadam, że angielską!

— A ja ci powiad...
Hop! Łódka stęknęła dziwnie,

uderzywszy z całej siły o coś twardego i zatrzymała się w miejscu. Nim Wygwizdów zorientował się w nowej sytuacji, łódź zaczęła napełniać się wodą w nadzwyczaj szybkim tempie.

— Wkładać plecaki i pasy ratunkowe! — krzyknął Mietek. — Ziemia blisko, dopłyniemy! Breloczek, dawaj swój „magazyn”, nie udźwigniesz. Trzymać się za ręce!

— Mój Boże! żelazne porcje

Joe'go przypadły! — westchnął Wacek.

Ale nie było czasu na narzekania: trzymając się za ręce cała czwórka zanurzyła się w wodę i dała się unieść przyrywowi, który niósł ją z wolna ku brzegom.

Po bokach płynęli Mietek i Julek, a w środku Wacek i Breloczek, który, chociaż zmęczony i mokry, powtarzał z zadowoleniem:

— A co, ziemia? Moja ziemia!

Za chwilę chłopcy zobaczyli niewidziane. nigdy drzewa, wysmukłe o nagim pniu palmy, olbrzymie korony rozrostłych drzew, wspartych na wielu pniach, jak wielkie altany, niżej gęste zarośla traw i krzewów. Brzeg był dość wysoki i rósł w oczach w miarę, jak chłopcy zbliżali się do niego.

Wreszcie nogi ich dotknęły dna i zaczęli brodzić w coraz płytszej wodzie, póki wreszcie nie stanęli, przemoczeni i zmęczeni na suchym lądzie.

Mietek ukląkł poważnie na brzegu, przeżegnał się, a potem wstał i powiedział:

— Niech nam ta nieznana ziemia będzie przychylnem schronieniem.

— Amen! — odpowiedzieli.

Obco i dziwnie czuli się podróżnicy wśród nieznanych roślin, na nieznannej ziemi. Zdawało im się, że to jakiś sen, z którego za chwilę się obudzą, ale... nic się nie zmieniało. Zresztą trzeba było i za to dziękować Bogu, że nie zginęli w morzu jak bohaterki Joe, lecz dostali się na stały ląd. A co będzie dalej? Ha! zobaczy się... W każdym razie: „nie jest jeszcze źle, póki jesteśmy” — jak mówił kochany kapitan Wiktorji.

Ubrania, plecaki i wszystkie zapasy rozłożono na słońcu, a chłopcy leżeli na rozgrzanej ziemi i leniwie rozmawiali.

— Pomyśleć — zaczął znowu Julek — jakie to wszystko dziwne: niedawno jeszcze byliśmy w szkole, potem obóz harcerski, koledzy, namioty... Potem łódka, okręt, burza i jesteśmy w zupełnie innej części świata!... Poprostu nie chce mi się wierzyć! Zdaje mi się, że zaraz ktoś mnie obudzi i powie: „Wstawaj, bo się spóźnisz do szkoły!”.

— Tak, tak! — powiedział Mietek. — Nigdy nie wiadomo, co może człowieka spotkać. Ale grunt — to dać sobie radę w każdej sytuacji.

— Właśnie! — bąknął Wacek. —

W tem sęk. Nie wiemy gdzie jesteśmy i nie wiemy co teraz robić...

— Naradzimy się jeszcze — powiedział Mietek. — A tymczasem ubierzmy się w suche ubrania i zaśnijmy trochę. Należy nam się to zupełnie.

ROZDZIAŁ IV

W którym chłopcy zostają bożkami.

Była jeszcze pełna noc, kiedy chłopców obudził jakiś szelest. Posiadali na ziemi, zaniepokojeni tajemniczym szmerem i zobaczyli jakąś postać niknącą w zaroślach.

— Goryl! — szcząkał zębami Wacek.

— Prędeej murzyn.

C. d. n.

Jerzy Ostrowski

LISTY DO REDAKCJI

Dzieńdobry, kochani Czytelnicy.

W tym tygodniu dostałem od Was listy pełne dobrych wiadomości. Aż miło czytać, jakie czynne życie macie w szkołach.

Samorząd z Nieszawy dzielnie się spisuje, ponieważ uczennice i uczniowie klas starszych opiekują się młodszymi dziećmi. Roboty mają wiele: codziennie sprawdzają czystość, bawią się z małymi w czasie pauz, a nawet przygotowują różne ozdoby dla klas I i II-giej.

Uczniowie z Jurkowa założyli w tym roku sklepik, aby mieć dochód na opłacenie „Płomyka” i „Płomyczka”. Pewnie wszystkie szkolne dzieci kupują w sklepiku, kiedy zdobyliście pieniądze nietylko na opłacenie pisemek, ale i na fundusz wycieczkowy klasy VII.

Zuchy z Łodzi! przyjemnie i pożytecznie spędzacie czas w swojej świetlicy. Prócz odrabiania lekcyj urządzać próby i przedstawienia, z których dochód idzie na dożywianie biednych dzieci. Ile śniadań wydajecie w szkole?

Z napływających wciąż listów dowiaduję się, że moi czytelnicy spoczątkiem

roku szkolnego podjęli prace w Kołach P. C. K., w Kółkach Literackich, Kasie Oszczędności, drużynach harcerskich i innych organizacjach szkolnych.

Toteż raduję się Waszą zgodną i pełną zapału robotą i życzę, aby wszystkie organizacje pięknie się rozwijały.

Uczennice i uczniowie klasy IV proszą, aby napisali do nich rówieśnicy z województwa wileńskiego. Adresujcie tak: Klasa IV, Szkoła powszechna. Obory Kolonja, poczta Szymanowice nad Prosną, pow. Konin, woj. łódzkie.

Klasa V-B szkoły powszechnej Nr. 98 w Warszawie (Aleja Szucha 9) pragnie nawiązać korespondencję z dziećmi szkolnymi z innych dzielnic Polski. Która klasa V do nich napisze?

Uwaga filateliści!

Zygmunt Kalinowski z Sepolna, Nowy Rynek Nr. 3 na Pomorzu pragnie nawiązać korespondencję ze zbieraczami znaczków z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna i Pińska. Zygmunt posiada już zbiór 800 znaczków pocztowych i ponadto dużo podwójnych do zamiany.

W. J.

Wiewiórka i jej córka



Ledwo słońce ze snu wstanie,
Idą wiewiórki na śniadanie,
Smaczne orzeszki gryzą sobie
I o przyszłości myślą obie.
Bo, gdy przychodzi mroźna zima
orzeszków wcale w lesie niema.
Żeby nie zginąć wtedy marnie,
Napełnić trzeba swą spiżarnię.

Więc po śniadania mama rzeknie:
— Zbierajmy, zanim czas ucieknie
I, od poranku do wieczora,
Zbierajmy, córko, póki pora.

Pracując codzień z całej siły,
Orzeszków mnóstwo naznosiły
I napełniły aż po brzegi
Spiżarnię, zanim przyszły śniegi.
Ubrane w miękkie, ciepłe futra,
Spokojnie mogły czekać jutra.
— Płynęły dni bez jednej chmurki
Mamy wiewiórki i jej córki.

Przykład to dobry — jakich mało:
I my składajmy do P. K. O.!

Przy wieszaniu?

Ropa naftowa jest mieszaniną całego szeregu połączeń węgla z wodorem. W rafinerjach nafty wydziela się z ropy poszczególne grupy tych związków znane jako benzyna lekka i ciężka, nafta, oleje maszynowe, wazelina, parafina i asfalt.

Pożar szybu naftowego „Oil City” w Borysławiu trwał 6 tygodni, nim udało się go ugasić specjalnie w tym celu zbudowaną olbrzymią pokrywą żelazną, którą nakryto płonący otwór wiertniczy.

By wyobrazić sobie potęgę tego pożaru, trzeba wiedzieć, że szyb ten wyrzucał z wnętrza ziemi około 200 metrów sześciennych gazów w przeciągu każdej minuty i zgórą 100 wagonów ropy w ciągu dnia. Wszystko to płonęło, tworząc olbrzymią fontannę ognia, wysoką na kilkadziesiąt metrów wprost w stawie płonącej ropy. Żar był tak wielki, że odczuwało się go już w odległości $\frac{1}{2}$ km.

Wydobycie gazu ziemnego w Polsce w 1934 r. wyniosło 469 milionów metrów sześciennych. Z tego 281 milionów metrów sześciennych przerobiono na gazolinę, otrzymując 41 tysięcy tonn cieczy. Gazolina jest najlepszym paliwem dla silników samolotowych.

W początkach kopalnictwa naftowego wydobywano ropę z ręcznie kopanych studzien. Później zastosowano wiercenie otworów z powierzchniami przy pomocy ciężkiego dłota stalowego, zawieszonego na dośrubowanych w miarę głębokości żerdziach. Sposób ten stosowano pierwotnie w kopalniach północno amerykańskich w Kanadzie. Po wprowadzeniu go w Polsce ulepszono go i udoskonalono tak, że dziś nazywa się systemem polsko kanadyjskim. Oprócz niego stosuje się także i inne systemy wiercenia jak pensylwański (nazwany tak od amerykańskiego stanu Pensylwanja) przy którym świder jest zawieszony na grubej stalowej linii i system „rotary” czyli obrotowy.

W zakładzie szybu wierconego systemem polsko-kanadyjskim jest bardzo pożądanym robotnik umiejący ładnie śpiewać.

Robotnik pracujący na górnym pomoście wieży wiertniczej musi sygnalizować głosem kierującemu maszyną wiertaczowi swe czynności. Zamiast sygnalizowania znanymi okrzykami, zawiadania śpiewak swych towarzyszy pracy o wykonaniu swej czynności przez zmianę rytmu i tonu swej piosenki. Zgodzicie się, że śpiew jest miłszy od krzyku.

Wiele narzędzi wiertniczych posiada oryginalne nazwy. Łyzka służy wiertaczowi nie do jedzenia lecz do wybierania z dna szybu okruchów skalnych. Koron nie noszą na głowach, ale mają je do wyciągania urwanego świdra. Gruszki służą do rozepchnięcia ściśniętych przez ruchliwy pokład skalny rur, cembrujących odwiert. Kopytem nazywa się rodzaj świdra. Rak i prosiak nie są zwierzętami, lecz piewszy instrumentem do uchwycenia i wyciągania urwanych rur a drugi ciężarem przy wielokrążku. Koza podnosi się kliny przy płycie w której wiszą rury.

Palenie tytoniu jest w szybie najsurowiej wzbronione, mimo to są tam fajki — duże żelazne klucze do przykręcania świdra.

Kształt wielu narzędzi jest wciąż jeszcze dostosowany do materiałów z jakich je kiedyś wyrabiano, chociaż obecnie przy zastosowaniu innych materiałów inne kształty byłyby odpowiedniejsze. Siekiera i nóż są wciąż takie, jakimi były, gdy wyrabiano je z kamienia. Natomiast ostrze do golenia daje przykład celowego zastosowania stali.

Roczna produkcja filmów kinowych przekracza 500 milionów metrów. Długość ta wystarcza, by kulę ziemską opaść 12 razy dokoła.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



ZAGADKA

Twierdza ze stali
pływa po fali.

ZAGADKA

Długi, krzywy
nóż stalowy
ścina głowy.

ZAGADKA

Cała jest
z ołowianej treści,
a w środku ołowiu
ul mieści.

SZARADA

Ach, witaj, drogi sąsiedzie!
Niechże sąsiad *drugie* — *trzecie*.
Cóż tam słyhać, jak się wiedzie?
Ciężkie czasy, przecież wiecie.
Pierwsza — *trzecia* zawitała,
nikt nie *trzecie* nic nikomu.
Trudno myśleć, żeby *cała*
mogła być u kogo w domu.

ZAGADKA

Wyższe od konia,
a niższe od psa.

ZADANIE

Co to za oddział wojskowy przechodził i ilu liczył ludzi, jeżeli było w nim 113 szabel, 112 karabinów, 226 rąk i aż 678 nóg? Ile nóg przypadało na jedną głowę? Dlaczego?

SZARADA

Pierwsza — oznacza powierzchni miarę i setka *pierwszych* zwie się hektarem.
Druga — czasownik w 3-ej osobie.
Trzecia — zaimek. Gdy złączyć obie, *drugą i trzecią*, to je ze słomy, albo też z trzciny kładą przed domy.
Całość — broń groźna, w nieprzyjaciela kulami strzela.

ROZWIĄZANIA Z N-RU 10:

Rebus: malarze tworzą piękno na obrazach. Krzyżówka:

M	U	Z	E	U	M
A	F	R	Y	K	A
T	A	R	E	N	T
E	D	K	O	W	E
J	E	D	N	E	J
K	R	A	M	I	K
O	S	O	B	N	O

Szarada 1 — rama, 2 — żyrafa. Zgadnij — w klasie jest nas 56. Pomyśl: 81, 72, 63, 54.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:	W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wzyż)
miesięcznie zł. 1.10	miesięcznie zł. —.84
półrocznie „ 5.—	półrocznie „ 4.—
rocznie „ 10.—	rocznie „ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1. (wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK. Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

PATROL

